

w klasie i w czasie 45 minut lekcji zastępuje matkę, ojca i najlepszych przyjaciół. Otacza opieką i wrażliwością tych, którzy częstokroć są bardziej przestraszeni realiami życia niż ich rodzice i reszta społeczeństwa. Dzieci zawsze pytają o to – co z nami będzie oraz czy wszystko się uda, czy będzie dobrze i bezpiecznie? I żeby tylko nie krzyczeli i żeby tylko nie bili... i żeby ludzie choć trochę się kochali. Gdy brakuje spokoju i stabilizacji, rodzi się agresja i chamstwo. I wtedy pozostaje tylko Korczakowski imperatyw nauczycielskiego postępowania – być z dziećmi do końca! Cokolwiek by się działo, nauczyciel ma trwać w świecie ideałów, by je przechować dla obecnych, przyszłych i nadchodzących pokoleń. Nie może się poddawać, pamiętając o tym, że uczniowie są źli tylko w grupie. Będąc samotnym, każdy pokorniej, traci rezon i powraca do właściwego wymiaru własnego strachu przed jutrem. Choć jest coraz trudniej, bo nauczyciel nie ma już dawnego autorytetu i poważania społecznego, szczególnie w kraju, w którym ludziom wmawia się na każdym kroku, że do wszystkiego mają prawo, więc najskwapliwiej korzystają z tego, co jest najprostsze – czyli z podważania zasad i aksjomatów. Nauczyciel jest więc kojarzony, i po części słusznie, ze starym ładem i konserwą etycznie-moralną. Słusznie pisze Dawid:

„...gdyby trzeba było wybierać między nauczycielem, który posiada dużą wiedzę fachową, poznał psychologię, metody i technikę wychowania, ale któremu obcą jest zupełnie ta miłość dusz, i z drugiej strony takim, który przy bardzo skromnej wiedzy, braku metodycznego przygotowania ma w sobie żywe i w czyn przechodzące poczucie duchowej wspólności, który dusze uczniów swoich – swoją ogarnia i jak swoją kocha; gdyby trzeba było wybierać między nimi, pierwszeństwo bezwzględnie oddać by należało temu drugiemu”.

Od lat toczy się dość jałowa dyskusja na temat możliwości wychowawczych szkoły. O czym tu dyskutować, jeśli sprawa wydaje się oczywista i należy postawić kropkę nad i. A mianowicie – prawo Talesa zaczeka, budowa pantofelka także, a i biedny Mickiewicz także zaczeka na swoich nowych czytelników, ale uczeń nie ma czasu. Potrzebuje szkolnej interwencji wychowawczej w odpowiednim momencie i to już dziś! Szkoła jak najbardziej ma wychowywać w dialogu z rodziną i tradycją społeczeństwa, w którym funkcjonuje; ma być instytucją formacyjną, stojącą na straży godności i silnych charakterów pro publico bono. I zawsze powinna się bronić przed zakusami wszelkiego partyjniactwa, które chciałoby szkołę sprowadzić do roli ideologicznej służki doraźnej polityki bez szerokiej perspektywy uniwersalizmu humanistycznego. Partie przeminą, politycy też, a prawy i dobry człowiek musi trwać. I znowu Dawid nie myli się, gdy pisze:

„Ale właśnie o to idzie, że nauczyciel nie może być biernym, mechanicznym wykonawcą celów i zadań nie przez niego pomyślanych i przyjętych, ale narzucanych mu z zewnątrz, przepisanych z góry na lata, tygodnie, dni i godziny”.

Szkoła w Polsce zbyt długo jest przedmiotem kosztownych eksperymentów i pseudoreform, które nie przynoszą, bo przyniesić nie mogły, pożądanych efektów. Zmiana struktury edukacyjnej – uczniów i student co trzy lata są wprowadzani do nowego środowiska (nauczanie zintegrowane, szkoła podstawowa, gimnazjum, szkoła średnia, studia licencjackie, studia magisterskie i doktoranckie) – a to nie służy w żadnym stopniu zrównoważonemu rozwojowi

ani emocjonalnemu, ani intelektualnemu. Obniżając poziom nauczania (patrz tzw. nowa matura i równie żenujące pod względem merytorycznym prace licencjackie), wygenerowano większą liczbę ludzi z jakimkolwiek wykształceniem na papierze, którzy nie są w stanie znaleźć żadnej liczącej się pracy i muszą emigrować do krajów starej Unii Europejskiej, gdzie są pracownikami drugiej kategorii. Zabawą w oświatę zaprzeczono kolejnej myśli Dawida:

„Wychowanie, szkoła nie może być szkołą zabawy, łatwości, gry, ale musi być szkołą wysiłku, pokonywania trudności, wyrzeczenia się. Rozumie się, że nie przymusu z zewnątrz fizycznie narzucanego, ale takiego, który rodzić się będzie z własnej woli i wewnętrznej potrzeby ucznia, ze wspólnego – u nauczyciela i ucznia – entuzjazmu dla wysiłku, przymusu, obowiązku”.

Pomimo licznych przeszkód w życiu codziennym nauczyciela (i w wolnym kraju) pozostaje wiara w zwycięstwo miłości dusz. Niech sobie urzędnicy bez wyobraźni robią co chcą, skoro nie są w stanie zdobyć się na wysiłek równy przedwojennej ekipie ministra Jędrzejewicza; niech samorządowcy podniecają się kolejnymi ankietami i nowotworami sprawozdawczości; niech dziennikarze opieszali w poznawaniu prawdy wypisują swoje bzdury o szkole – tak widać musi być. Prawdziwa służba nigdy nie jest lekka. Wszakże polski nauczyciel – w to wierzę – nie da się zwariować i będzie pamiętał o tym, co najważniejsze – służbie dziecku, i o tej miłości, bez której nie powstałby tekst J.W. Dawida. Myślę teraz o jego miłości do małżonki, do drugiego wspaniałego człowieka, który staje się partnerem do ostatnich dni. W liście do przyjaciela pisał po śmierci żony: „Dziś została mi tylko rozpacz, która jest bezwarunkowo śmiertelną chorobą, tylko że ta śmierć tak strasznie powoli przychodzi”.

Trzeba kochać, by w pełni odkryć swoje człowieczeństwo i by móc być nauczycielem, który tą miłością podzieli się z młodszymi od siebie. Ponadto trzeba mieć pewne cechy charakteru. Dawid pisał o sobie w jednym z listów: „Miałem zawsze nadzwyczajną wrażliwość na wszelki fałsz, niesprawiedliwość, krzywdę i ona to pchała mnie do reagowania i buntu – czy to w wypadkach osobistych z otoczenia, czy w sprawach ogólnych. Były zawsze rzeczy, wobec których nie mogłem się zachowywać spokojnie, obojętnie, powstrzymać się od jakiegoś protestu” (list do Henryka Lukreca publikowany w WL nr 9/1932 r.). Te ostatnie słowa dedykuję sobie i wszystkim Koleżankom i Kolegom Nauczycielom, którym nie jest obojętny los polskiej szkoły i polskiego ucznia-dziecka. Rady pedagogiczne bowiem powinny pochylać się nad problemami życiowymi swoich uczniów, a nie nad statystyką ocen, którą należy pozostawić bezdusznym urzędnikom kuratoriów i agend ministerialnych. Za mało zajmujemy się wychowaniem, a coraz więcej uwagi, sił i środków poświęca się efektywnemu wkuwaniu rzeczy mało potrzebnych do tego, aby młody człowiek stał się mądrym i przyzwoitym, jak bohater z *Przesłania Pana Cogito*. Pokoje nauczycielskie nie mogą być miejscami zapomnienia o uczniach – wręcz przeciwnie – to w nich ma się dokonać wymiana poglądów o efektywnym prowadzeniu dzieciństwa i młodości do dorosłości i dojrzałości. Brakuje nam autentycznego dialogu nauczycieli z uczniami i ich rodzinami (jak żenujące są tzw. wywiady szkolne!). Szkoła nie jest miejscem wykonywania planów produkcyjnych i bezmyślnej walki o punkty i miejsca w durnych rankingach urzędów i mediów. Dzieci w szkole nie są bagażem w przechowalni dworcowej – dlatego więc nikt się nie interesuje, dokąd i w jakim stanie moralno-duchowo-intelektualnym pójdą dalej?



W ROZMOWIE WL ROK KORCZAKOWSKI



Rozmowa z **Wojtkiem Lasotą**
– prezesem Fundacji Korczakowskiej

Tomasz Mitrowski: *Od jak dawna zajmujesz się tematyką korczakowską?*

Wojciech Lasota: Od około czterech lat, czyli od 2007 roku, kiedy zacząłem pracę w Ośrodku Dokumentacji i Badań Korczakianum, oddziale warszawskiego Muzeum Historycznego. Już wtedy wiedziałem o Korczaku trochę więcej niż większość ludzi, choćby dlatego, że wcześniej zajmowałem się tematyką żydowską, ale nie dużo więcej. Nie miałem zweryfikowanych różnych stereotypów na jego temat, nie miałem nawet świadomości, że je mam. Tym, co wyniosłem z rocznej pracy w Korczakianum, była właśnie weryfikacja utartych schematów i klisz oraz znaczne poszerzenie wiedzy na temat jego biografii i twórczości – czytałem wówczas mnóstwo tekstów samego Korczaka.

Zasada.

Niech dziecko grzeszy. Nie zabiegajmy o to, by każdy czyn uprzedzić, w każdym zawahaniu się natychmiast drogę wskazać, przy każdym pochyleniu biec z pomocą. Pamiętajmy, że w momencie silnych zmagania może nas zbraknąć. Niech grzeszy.

Jak kochać dziecko. Internat

Jakiś czas po odejściu z muzeum założyłeś Fundację Korczakowską, której jesteś prezesem.

Już niedługo fundacja będzie miała dwa lata – powstała na początku 2011 roku. Nie przewidywaliśmy wówczas czegoś takiego jak Rok Janusza Korczaka, więc rozkręciliśmy

Pamiętaj:

Dziecko ma prawo kłamać, wyłudzić, wymusić, ukraść. – Ono nie ma prawa kłamać, wyłudzać, wymusić, kraść. Jeśli ani razu nie miało sposobności jako dziecko wydłubać z placaka rodzynków, zjeść je po kryjomu – ono nie jest i nie będzie uczciwe, gdy dojrzeje.

Jak kochać dziecko. Internat

się powoli... Ogłoszenie Korczaka patronem mijającego właśnie roku dało nam możliwość wejścia na nowy poziom działania. Mnóstwo się nauczyliśmy i zobaczyliśmy, ile możemy dać, ale wciąż jesteśmy małą organizacją w fazie rozwoju.

Czym zajmuje się fundacja i ile osób dla niej pracuje?

Fundacja Korczakowska zajmuje się teraz przede wszystkim edukacją. Prowadzimy na przykład warsztaty dla nauczycieli czy bibliotekarzy i zajęcia dla dzieci. Podczas wakacji realizowaliśmy projekt finansowany przez Miasto Stołeczne Warszawa „Porozmawiajmy o Korczaku”, z którym udało się nam dotrzeć do grupy ponad 460 dzieci. Obecnie staramy się rozwinąć naszą działalność. Chcemy wyszkolić korczakowskich edukatorów, którzy będą umieli o Korczaku mówić odpowiedzialnie, wszechstronnie i co bardzo ważne – interesująco. Nasz plan obejmuje także współpracę międzynarodową z instytucjami, które mogą nam ułatwić dostęp do osób mieszkających poza Polską, ale znających

język polski. Do takich ludzi, którzy mogą czytać Korczaka w oryginale i na swoim gruncie krzewić idee korczakowskie. O tych planach rozmawiałem już z panią Martą Ciesielską z Korczakianum, z szefową Międzynarodowego Stowarzyszenia im. Janusza Korczaka oraz jego niemieckiego oddziału, jak również na przykład z władzami uniwersytetu w Koblencji, na którym ostatnio prowadziłem korczakowskie warsztaty. Przy mierzymy się także do projektu, w którego ramach będziemy mogli popularyzować wiedzę o Januszu Korczaku przez internet.

Jeśli chodzi o liczbę osób zaangażowanych w działania fundacji, w tej chwili mamy grupę czworga, pięciorga współpracowników i tyle samo wolontariuszy. Współpracujemy też z kilkoma instytucjami – Żydowskim Instytutem Historycznym, Pracownią Badań i Innowacji Społecznych „Stocznia” czy wymienionym wcześniej Korczakianum.

Czy Twoim zdaniem ogłaszanie patronów kolejnych lat ma sens?

Możę stworzyć tradycję prawdy, ładu, pracowitości, uczciwości, szczerości, ale nie przerobię żadnego z dzieci na inne, niż jest. Brzoza pozostanie brzoza, dąb dębem – łopuch łopuchem. Mogę budzić to, co drzemie w duszy, nie mogę nic stworzyć. Śmieszny będę, dając się na siebie lub dziecko.

Jak kochać dziecko. Internat

Moim zdaniem ma głęboki sens, natomiast kluczowe jest pytanie – jak. Swoją drogą, jest to także kluczowe pytanie Korczakowskie. Jego podstawowa książka, a właściwie cała tetralogia, nosi tytuł *Jak kochać dziecko?* Nie – *Czy kochać dziecko?* ani *War to kochać dziecko*, tylko właśnie – *Jak...*

Rozumny wychowawca nie dąsa się, że nie rozumie dziecka, ale rozmyśla, poszukuje, wypytuje dzieci. Ono go pouczy, by ich nie uraził zbyt dotkliwie – byle chciał się uczyć.

Jak kochać dziecko. Internat

Dla mnie niezmiernie ważną rzeczą, która wynika z Roku Korczaka, jest absolutnie konieczna zmiana w legislacji, by to jak? było lepsze. Rok Janusza Korczaka został uchwalony przez Sejm trzy miesiące przed jego rozpoczęciem. Korczak i tak miał szczęście, bo uchwałę w sprawie patronów roku 2013 – Jana Czochralskiego, Witolda Lutosławskiego i Juliana Tuwima przyjęto w grudniu. Nie ma to oczywiście żadnego sensu. Budżety wielu instytucji są już poza mykane, zgłoszone plany działania. Kiedy taki rok zostaje ogłoszony, zainteresowane instytucje muszą stawiać na głowie, by temu sprostać. Zanim pojawi się jakiś pomysł i dojdzie do znalezienia pieniędzy na jego realizację, mija znaczna część roku.

Dzielimy nieudolnie lata na mniej i więcej dojrzałe; nie ma niedojrzałego dziś, żadnej hierarchii wieku, żadnych wyższych i niższych rang bółu i radości, nadziei i zawodów. Gdy bawię się czy rozmawiam z dzieckiem – spłóły się dwie równie dojrzałe chwile mojego i jego życia.

Prawo dziecka do szacunku

Najcenniejsze są oczywiście długofalowe działania, bo przedsięwzięcia doraźne, choć także potrzebne, mają ograniczony efekt. Jeżeli jednak mamy coś długofalowego przedsięwziąć, trzeba to odpowiednio wcześniej zaplanować i zabudżetować, a jest to niemożliwe przy obecnym trybie uchwalania patronów.

Moim zdaniem rozwiązanie jest proste, choć nie wiem, jak to wygląda z prawnego punktu widzenia. Należałoby po prostu przy następnym głosowaniu przyjąć kandydatury

nie tylko na najbliższy, ale także na kolejny rok, a potem na kolejny i tak dalej. Wtedy zainteresowane instytucje będą miały ponad 12 miesięcy na przygotowania.

Czy według Ciebie warto było wybrać właśnie Janusza Korczaka na patrona roku 2012?

Oczywiście, bo to postać, nawet po tym roku, mało znana, więc warto dołożyć starań, by była bardziej rozpoznawalna. Tylko że i tu znowu pojawia się pytanie: jak?

Po pierwsze, Korczak jest absolutnie nietypowym patronem. Jestem przekonany, że gdyby go spytać, to nie chciałby nim być. Dajmy przykład, który świetnie pokazuje podejście Korczaka do rocznic i obchodów. W 1933 roku odbył się jubileusz 25-lecia żydowskiego Towarzystwa „Pomoc dla sierot”, do którego należał Dom Sierot. Obecni byli między innymi minister opieki społecznej i prezydent Warszawy oraz wielu innych

Przewiduję konieczność walki o regulamin i bezpieczeństwo bezdusznych i uczciwych. Wezwę do współdziałania dodatknie wartości gromady, przeciwstawiając je złym siłom. I wówczas dopiero rozpoczne planową pracę wychowawczą, zdając sobie jasno sprawę z granic wpływów wychowawczych na danym terenie.

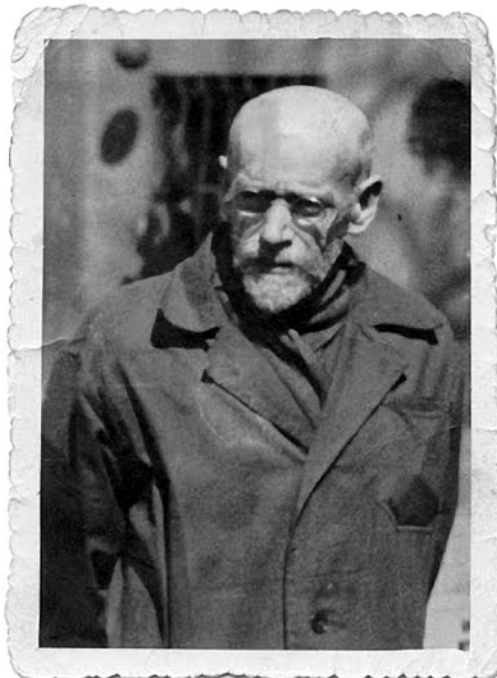
Jak kochać dziecko. Internat

dostojnych gości. Prowadzący opowiadał, że w pewnym momencie do Towarzystwa dołączył Korczak i stwierdził: „obecny na sali Janusz Korczak nie lubi, żeby się zbyt wiele zajmować jego osobą. Ponieważ dr Goldszmit nie chciał pod tym względem zrobić ustępstwa nawet raz na 25 lat, nawet w dzień jubileuszu Towarzystwa, więc nie chcąc z Panem Doktorem zadzierać, muszę na tych kilku tylko poprzestać słowach”.

Rok Korczakowski miał więc sens, tylko należałoby postawić teraz pytania o szczegóły.

W takim razie, czy można uznać ten rok za sukces, czy raczej należałoby mówić o porażce?

Nie potrafię ocenić tego w takich kategoriach. Po pierwsze, nie śledziłem i nie sądzę, by ktokolwiek był w stanie prześledzić wszystkie imprezy, które się wydarzyły. Było ich sporo i były bardzo rozproszone. Przygotowywano je na różnych szczeblach – od konferencji organizowanych przez rzecznika praw dziecka aż po małe przedsięwzięcia na poziomie szkoły, domu kultury czy też innego rodzaju instytucji.



Po drugie, żeby ocenić ten sukces lub porażkę, trzeba by mieć jakiś punkt odniesienia. Korczak jest nietypowy i nie da się jego roku porównać na przykład z Rokiem Chopina czy Miłosza... Mam poczucie, że Korczak był mało widoczny. To doświadczenie wyniesione z kontaktów z wieloma dziećmi, z którymi pracuję jako trener, poza tematyką korczakowską. Większość z nich na moje pytanie, czy słyszały o Korczaku, odpowiada, że nie. To są oczywiście ludzie w różnym wieku, przede wszystkim gimnazjaliści, którzy w ogóle nie kojarzą jego osoby.

Czy to oznacza, że te dzieciaki miały szansę usłyszeć w szkole na przykład o Chopinie, ale o Korczaku już nie?

To nie jest kwestia tego, czy mają szansę usłyszeć czy nie. Opowiem ci pewną anegdotę, która wydaje mi się znamienita. Poszedłem do szkoły, w której miałem prowadzić zajęcia o Korczaku. Naliczyłem tam sześć, dosłownie sześć gazetek o nim, umieszczonych w różnych punktach szkoły. Były to zazwyczaj cytaty z Wikipedii przytwardzone →

Dobry [wychowawca – WL] wie, co robi na żądanie tryumfującej władzy, panującego Kościoła, mającej moc tradycji, przyjętego zwyczaju, pod żelaznym nakazem warunków. Wie, że nakaz ma o tyle tylko dobro dzieci na celu, że uczy je naginać się, ulegać, obliczać, przyucza do kompromisów przyszłości, gdy dorosną.

Jak kochać dziecko. Internat

do jakiejś tablicy. Zaczynając zajęcia, powiedziałem dzieciom, że będzie o Korczaku i od razu usłyszałem jęk zawodu, co świadczyło o zmęczeniu tematem. Dzieci przygotowały gazetki na jego temat. Ucieszyłem się i zapytałem, co o nim wiedzą. Okazało się, że prawie nic!

Tu właśnie ponownie wraca pytanie: jak? To, że Korczak lub ktokolwiek inny stanie się tematem lekcji, jeszcze nie przesądza o tym, że rzeczywiście trafi do dzieci.

Zły wychowawca sądzi, że dzieci w samej rzeczy powinny nie hałasować, nie plamić ubrań, sumiennie wykuwać gramatyczne formułki.

Jak kochać dziecko. Internat

Które z inicjatyw Roku Korczakowskiego – publikacje, przedsięwzięcia, wydarzenia – uważasz za najważniejsze, najciekawsze, warte szczególnej uwagi?

Przed wszystkim przychodzi mi na myśl książka Anny Czerwińskiej-Rydel *Po drugiej stronie okna. Opowieść o Januszu Korczaku*, przy której powstawaniu miałem przyjemność pracować, a także *Pamiętnik Blumki* Iwony Chmielewskiej czy publikacja Beaty Ostrowskiej *Jest taka historia*. Na uwagę zasługuje także fotobiografia Korczaka autorstwa Macieja Sadowskiego, ważna choćby ze względu na coraz bardziej obrazkowy charakter naszej kultury. Byłoby też z mojej strony niesprawiedliwe, gdybym nie wymienił książki Joanny Olczak-Ronikier *Janusz Korczak. Próba biografii*, wydanej jeszcze przed Rokiem Korczaka. Redaktorzy z wydawnictwa W.A.B., którzy na etapie przygotowań do tej publikacji nie mogli wiedzieć o Roku Korczaka, chcieli jednak nawiązać do 70 rocznicy śmierci Starego Doktora. Należy też pamiętać o tym, że właśnie dzięki wydawnictwu W.A.B. ukazują się kolejne dzieła Janusza Korczaka, co jest niesłychanie ważne, ponieważ są to teksty bardzo trudno dostępne. Nie do przecenienia jest także fakt, że wiele książek Korczaka przy okazji tego roku zostało przełożonych na inne języki, o czym

Dorośli nie chcą zrozumieć, że dziecko na łagodność odpowiada łagodnością, a na gniew zaraz się w nim budzi – jakby odwet, zemsta. Że niby: „Taki jestem i już inny nie będę”.

Kiedy znów będę mały

można się przekonać, wchodząc na stronę Instytutu Książki.

Dla mnie jednak punkt ciężkości nie leży w publikacjach. Osobiście za najważniejsze uważam wydarzenia i momenty, w których przekonywałem się, że idee Korczaka i jego biografia znajdują prawdziwy, żywy rezonans u ludzi. Zetknięcia z Korczakiem nie odbieram wyłącznie na poziomie intelektualnym, jako poszerzenia wiedzy. Ten kontakt uruchamia także emocje, daje mi poczucie, że Korczak jest dla mnie kimś ważnym; że mogę z niego czerpać jako nauczyciel i człowiek.

Czy wymieniłbyś jakieś wydarzenia, które były zupełnie chybione, nieudane, po prostu złe?

Nie zetknąłem się z tego typu inicjatywami, choć pewnie i takie były. Mam też pewien opór we wskazywaniu rzeczy nieudanych, bo nawet jeśli teraz zostaną uznane za chybione i przeprowadzone źle, to nie znamy ich przyszłych długofalowych skutków. Może się przecież zdarzyć, że coś nie najwyższych lotów owocuje po jakimś czasie w sposób zupełnie zaskakujący. Przypominam sobie w zasadzie jedno takie zdarzenie dotyczące bardzo ostro krytykowanego logo Roku Janusza Korczaka przygotowanego przez biuro rzecznika praw dziecka. Jestem jednak pełen uznania dla pana Marka Michalaka, że nie upierał się przy pozostawieniu go za wszelką cenę i że dzięki jego otwartości mogło zostać zmienione.

Dostrzegam też pewien zasadniczy problem, jaki w sposób szczególny uwydatnił się w mijającym roku. Jedyną instytucją, która zajmuje się Korczakiem w sposób kompleksowy, jest wspomniany wcześniej Ośrodek Dokumentacji i Badań Korczakianum, w którym pracują bodaj trzy osoby

i te trzy osoby były niemal jedynym wsparciem merytorycznym dla prawie wszystkich inicjatyw podejmowanych w związku z Rokiem Korczakowskim. To stanowczo za mało, by móc we właściwy sposób obsłużyć tak wiele przedsięwzięć.

Czy fakt, że Janusz Korczak był Żydem, nie był pewną przeszkodą dla swobodnego i szerokiego popularyzowania jego postaci?

Myślę, że żeby komuś przeszkadzało to, że Korczak, Henryk Goldszmit, był Żydem, ten ktoś musi najpierw to wiedzieć. A to wcale nie jest w powszechnym odbiorze takie oczywiste. Korczaka nadal postrzega się stereotypowo. Przeciętnemu człowiekowi kojarzy się on z *Królem Maciusiem Pierwszym*, sierotami i utrwalonym w zbiorowej świadomości przekonaniem, że dobrowolnie poszedł ze swoimi podopiecznymi na śmierć. Większość ludzi zupełnie nie widzi tego, że Korczak jako Żyd był na tę śmierć niejako skazany.

Przecie każdy, nawet najgorszy z nas, chce się poprawić. (...) A najgorsze, jeśli się nie uda, a wy podejrzewacie złą wolę. Czasem nie dosłyszysz się albo przesiłysz, zapomni, nie zrozumie albo źle zrozumie. A wy myślicie, że na złość.

Kiedy znów będę mały

Wydaje mi się, że tak słaba znajomość biografii Janusza Korczaka i pokutujące wciąż na jego temat stereotypy tłumaczą być może niezwykle fenomen przyjęcia w naszym Sejmie propozycji Roku Janusza Korczaka przez aklamację. Nie było ani jednego głosu przeciw ani wstrzymującego się.

Pomyślałem przewrotnie, że kiedy pojawią się głosy sprzeciwu w odniesieniu do idei i postaci Korczaka, w tym też takie, które odwołują się do jego żydowskości, będzie to paradoksalnie wskazywało na to, że recepcja tej postaci staje się głębsza.

Niech ta myśl pozostanie puentą naszej rozmowy. Dziękuję za spotkanie.

Z Wojtkiem Lasotą dla Wiadomości Literackich rozmawiał Tomasz Mitrowski.

Wojciech Lasota – prezes Fundacji Korczakowskiej, trener biznesu, wcześniej edukator w Zamku Królewskim oraz copywriter. Z wykształcenia jest chemikiem i historykiem sztuki. Jest absolwentem Ogniska Teatralnego przy Teatrze Ochoty. Od kilkunastu lat jako aktor amator jest związany z zespołami prowadzonymi przez Grzegorza Reszkę. Poza Januszem Korczakiem fascynuje go również postać i muzyka Jana Sebastiana Bacha oraz filozofia taoizmu.

HISTORIA

W 145 ROCZNICĘ URODZIN MARSZAŁKA

NAPOLEON BONAPARTE
a JÓZEF PIŁSUDSKI

próba porównania postaci i ich losów

Krzysztof Jabłńska

Gdy schodzą się dwie rocznice, historyk ulega pokusie
porównania czy choćby zestawienia ich obok siebie.

Tak jest i w tym przypadku, gdy spotykają się dwie rocznice – 200. rocznica wyprawy cesarza Napoleona na Rosję, a ściślej mówiąc, na Moskwę, a zarazem ostatniego jego pobytu na ziemiach odrodzonego w czerwcu 1812 roku napoleońskiego Królestwa Polski, Litwy (i Rusi) oraz 145. rocznica narodzin Józefa Piłsudskiego 5 grudnia 1867 roku w Żuławie na Litwie Wileńskiej w zaborze rosyjskim.

Czy zatem dadzą się porównać te dwie tak istotne dla Polski, Francji i Europy osoby?

Spróbujemy tego dokonać, znajdując zarówno podobieństwa, jak i różnice. Historię – jak zauważyli już starożytni – pisze się od końca, szukając przyczyn tych zjawisk, które okazały się wielkie i doniosłe, i pomijając te, które lansowane kiedyś jako wielkie, okazały się potem fałszywe czy bezpłodne, jak choćby przymusowe święto 22 lipca, dziś kompletnie zapomniane.

Pierwsze podobieństwo jest dość znaczne:

miejsce pochówku obu są najbardziej dostojne miejsca w historycznym panteonie ich narodów. Pierwszy został pochowany 15 grudnia 1840 roku w paryskim kościele *des Invalides*, zbudowanym przy Kompleksie dla Inwalidów i Weteranów, założonym jeszcze przez Ludwika XIV, lecz znacznie rozbudowanym przez Napoleona dla licznych jego żołnierzy weteranów,

a szczególnie inwalidów – uczestników jego bitew i wypraw. Drugi został pochowany na Wawelu w specjalnie zbudowanej krypcie dla bohaterów „królom równych” pod Wieżą Srebrnych Dzwonów. Wejście do niej osłania baldachim składający się z trzech elementów będących symbolem trzech zaborców Polski:

– z podstawy, tzw. bazy, odlanej ze spiżu austriackich armat, pozostawionych na Wawelu, a niegdyś, to jest w 1848 roku, ostrzelujących Kraków;

– z malachitowych kolumn pochodzących z dekoracji rozebranego w Warszawie soboru Aleksandra Newskiego;

– oraz sufitu-nakrycia odlanego z dwóch przetopionych pomników Bismarcka – jeden pochodził z Poznania, a drugi spod Mysłowic, ze słynnego przed I wojną światową Trójkąta Trzech Cesarzy, gdzie zbiegały się granice zaborów.

Całość była symbolem pokonania wszystkich trzech zaborców przez cały ponownie zjednoczony naród.

Baldachim zdobi znamieny napis w języku łacińskim *Corpora dormiunt, vigilans animae*, co oznacza *Ciała śpią, dusze czuwają*.

Całe szczęście, że młodzież z wrodzoną sobie ciekawością często pyta, co znaczą te słowa. Nieodmiennie za każdym razem ich tłumaczenie wywołuje chwilę ciszy tak potrzebnej każdej młodej duszy do kontemplacji i zrozumienia, że ci tutaj leżą z naszego

powodu i żyli dla naszego dobra, że ktoś poprzez historię czuwa nad nami. Byłem z młodzieżą i przy jednym, i drugim grobie i potwierdzam, że reakcja młodych ludzi była podobna, bo i podobna była ranga leżących tu bohaterów.

W czym zatem tkwią różnice?

Prawie we wszystkim. I jeden, i drugi byli ludźmi wojennymi, oddanymi sprawom wojskowym, ale z całkiem innych powodów. Jeden zbrojną ręką i własną wolą porządkował europejski świat, przesuwał do woli władców i granice, nieznane dotąd w Europie, na ogół trafnie.

Drugi podstępem i zbrojnie dobijał się praw dla swojej skrzywdzonej ojczyzny, gromiąc kolejno trzech zaborców, choć każdego inaczej. Pierwszego, Austrię, jakby po przyjacielsku, klepiąc po plecach, aby odebrać jej żołnierzom zbędny w ich rękach kabin. Drugiego, Prusy II Reichu (II Rzeszy Niemieckiej) stanowczo, ale z honorem, wyrzucając z ziem polskich pokojowo, zbrojnie dopiero z ziem Wielkopolski i Górnego Śląska, zaś z Pomorza postanowieniami Traktatu Wersalskiego. Trzeciego, Rosję, czy to carską, czy to sowiecką, gromiąc w potężnej, potrójnej bitwie, która ocaliła Europę (Brody, Warszawa, Niemen).

Jeden i drugi pochodzili z małych ojczyzn, które nie były częścią ich wielkiej ojczyzny. Napoleon zapomniał o Korsyce dość szybko i bardzo nie lubił, gdy mu ją przypominano. →



NAPOLEON BONAPARTE



JÓZEF KLEMENS PIŁSUDSKI

Piłsudski przeciwnie, nie zapomniał ani o Litwie, ani o Wileńszczyźnie i dwukrotnie wyzwał ją dla Rzeczypospolitej, jako wspólnoty tworzących ją narodów. Obaj mówili do końca życia ze specyficznym akcentem kresowym, charakterystycznym dla ich małych ojczyzn. Napoleon „chrapał” po korsykańsku, podczas gdy Piłsudski śpiewnie zaciągał po wileńsku, nazywając siebie do śmierci nie przez przypadek starym Litwinem. Obaj zaś odnosili się do irredenty swych małych ojczyzn z dystansem i niechęcią. Napoleon zwalczał separatystę Paolięgo, którego w dzieciństwie był wielkim wielbicielem, Piłsudski zwalczał zbrojnie zapędy rodaków, swych przodków Litwinów, na Sejny czy Augustów, a na Wilno – gdy mu je odebrano, podstępem wysłał generała Żeligowskiego i z jego pomocą tworzył tzw. Litwę Środkową. Obaj w swoich wielkich ojczyznach widzieli główny rezerwuuar sił i jądro przyszłego zjednoczenia: Napoleon – narodów zachodniej, łacińskiej i w elitach frankojęzycznej Europy, a Piłsudski – narodów dawnej polskojęzycznej w elitach, a wskrzeszanej przez niego Rzeczypospolitej. Obaj czynili to z niewielkim i niepełnym skutkiem. Obaj za to obudzili nacjonalizmy jednoczonych przez siebie narodów: Napoleon – antyfrancusko nastawionych Niemców i Hiszpanów, ale za to profrancuskich Włochów, Piłsudski wzmocnił i rozpałił antypolskie nastroje Litwinów

i halickich Ukraińców, za to wsparł propolskich Białorusinów i Ukraińców kijowskich atamana Petlury.

Obaj interesy swoich narodów stawiali na pierwszym miejscu, poświęcając niekiedy nawet wiernych sojuszników. Napoleon – nadzieje Włochów i Polaków na zjednoczenie i niepodległość ich ojczyzn, Piłsudski – nadzieje Białorusinów i Ukraińców na istnienie ich własnych państw, pozostawiając im do wyboru II Rzeczypospolitą jako namiastkę państwa, którego nie mieli, z tym że ten ostatni potrafił jednak Ukraińców publicznie przeprosić (pierwszy i jedyny w historii przedstawiciel państwa polskiego, który kogokolwiek za cokolwiek przeprosił). Napoleon też, na swój sposób, przeproszał Polaków, że ich zawiódł, np. pisząc w 1814 roku w ich sprawie list do zwycięskiego cara Aleksandra, aby teraz on wziął pod opiekę „najwierniejszych z wiernych” czy najdzielniejszych z dzielnych, w czym nie było przesady. Co też ów uczynił, ocalając na Kongresie Wiedeńskim „kongresowe” wprawdzie, ale jednak Polskie Królestwo, czym potężnie naraził się pozostałym zaborcom i Anglii.

Każdy z nich ma wreszcie na swoim koncie zamach na legalną władzę i dokonanie w państwie przewrotu dającego dożywotnią władzę. Napoleonowi, po 18 *brumaire’a* 1799 roku władzę pierwszego (i dożywotniego) konsula Francuskiej Republiki, a potem

cesarza pierwszego Cesarstwa Francuskiego, Piłsudskiemu po 12 maja 1926 roku, permanentnego ministra Spraw Wojskowych, inspektora Sił Zbrojnych jako pierwszemu marszałkowi Drugiej Rzeczypospolitej.

Pozostaje jeszcze jedna zasadnicza różnica. Działania Napoleona nad uporządkowaniem Europy, tak zwalczone za jego czasów, realizowane były potem przez zbuntowane wcześniej narody, a granice wytyczone przez niego do dziś stanowią cel działania licznych społeczności separatystycznych, jak Baskowie, Katalończycy – oddzieleni od Hiszpanii i połączeni z Francją w 1810 roku, czy Tyrolczycy z południowego Tyrolu przyłączonego w 1919 roku do Włoch.

Działania Piłsudskiego nad uporządkowaniem środka Europy zostały brutalnie zmiecione przez Jaltę i porządek pojałtański tak skutecznie, że mało komu dziś w głowie kontynuacja wielkich wolnościowych planów Marszałka, nawet w ramach zjednoczonej Europy. Jego Europy w tym nie widać.

Ale jest jeden, za to ważki, punkt wspólny. Gdy walka cesarza Napoleona z Rosją „o Polskę” skończyła się klęską, gdyż była to wojna wyłącznie propagandowo polska, a w rzeczywistości rosyjska, to wojna Marszałka o Polskę skończyła się zwycięsko w chwili gdy to wschód siedł na podbój zachodu, gdyż dla niego była to naprawdę bitwa o Polskę, czyli o wszystko. Można zatem z pewną emfazą powiedzieć, że w miejscu,

gdzie Napoleon skończył swą walkę, Piłsudski rozpoczął, doprowadzając ją do zwycięskiego końca, finalizując zarazem usiłowania dwóch wielkich powstań listopadowego i styczniowego czterech narodów Rzeczypospolitej powstańczej lat 1830-1831 oraz 1863-1864. Co dla Napoleona było środkiem – „odrodzone narody przeciw starym monarchiom”, dla Piłsudskiego było celem – „wolne narody przeciw neoimperiom i totalitaryzmom Europy”.

Dzięki dziedzictwu napoleońskiej epoki Wiosna Ludów 1848 roku dał nowy kształt Europie narodów, a dzięki 20-leciu wywalczonemu dla Polski i całej środkowej Europy była możliwa Jesień Narodów 1989 roku i powiew wolności od Finlandii po Kaukaz. Napoleon przekształcał i zmieniał oblicze Zachodu, Piłsudski stwarzał i tworzył na nowo oblicze środka Europy.

Obaj znów w jednej dziedzinie podobni do siebie – w celności słowa. Pisali dla potomności, która po nich nadejdzie. Stałą lekturą Piłsudskiego, jak podaje żona Aleksandra, były listy i *Pamiętniki z Świętej Heleny* pisane po francusku (trudno, żeby Napoleon czytał po polsku, choć pani Walewska go trochę uczyła). W rozkazach i wspomnieniach widać u obydwo prześwit geniuszu literackiego i samorodny talent do opisywania trudnej rzeczywistości. Jeden i drugi okazali się przewidującymi, jeśli chodzi o wydarzenia polityczne; wyprzedzali myśl ich nadejście, zanim ktokolwiek ze współczesnych się w tym połapał. Nie byli jedyni. Wielu prawidłowo przewidywało przyszłość Europy „wolnych narodów”, ale spośród nich tylko ci dwaj mieli władzę i mogli ją wykorzystać do realizacji tych przewidywań. Jak przeczuwanie katastrofy i wszelkich zagrożeń najbardziej uprawnia kapitana do kierowania okrętem, tak ich przeczuwanie katastrof dla Europy predestynowało do autorytarnej władzy nad powierzonymi im armią i narodem.

Ostatecznie obaj wypełnili swoje zadania do końca, jeśli nie zwycięskiego, to przynajmniej chwalebne dla obu narodów. Podziwu dla Napoleona nie trzeba Polakom udowadniać, mają swoje powody, dla których jeden wystarczy za wszystko. Był to ten, który potargał trzykrotne rozbiory i wydobył do życia na śmierć skazane narody Rzeczypospolitej.

Piłsudski był jedynym z Polaków, którego w okresie międzywojennym podziwiali Francuzi, a zwłaszcza marszałek Ferdynand Foch, również marszałek Polski (choć drugi).

To właśnie ożywionej podczas I wojny światowej tradycji napoleońskiej i jej sile oddziaływania na Francuzów zawdzięczamy, że w najbardziej krytycznym dla Polski momencie wojny 1920 roku, gdy bolszewicy sami ustanawiali władzę Niemców na ziemiach ich dawnego zaboru, marszałek Foch, głównodowodzący wszystkich wojsk Ententy, potrafił postawić do boju, po czterech latach śmiertelnych walk, i zagrozić Niemcom, że jeśli tylko się ruszą, zmiażdży ich jednym rozkazem, jak w 1918 roku. A co ważniejsze, oni w to uwierzyli i nie mieli wątpliwości, że wypełni zobowiązania wobec Polaków. Pozostaliśmy dla nich nietykalni i nawet na Górnym Śląsku, gdzie wybuchło II powstanie (na wieść o upadku Warszawy) i zmiażdżenie Polski stało się możliwe, mogliśmy zawrzeć z jego pomocą remisowy rozjem. Coś z ducha napoleońskiego pozostało i Francuzom, i Polakom.

Dziś, gdy Francuzi niewiele wiedzą o Polakach i boją się polskiego hydraulika, a powinni się bać polskiego historyka, Polacy zaś nie znają jak kiedyś francuskiego i nie mówią po francusku z taką miłością jak we własnym języku, lecz dawno przeszli na angielski, warto przypomnieć, że w wielkich sprawach tego świata byliśmy tak bardzo blisko siebie.

Pozostaje pointa o dobrowolnym zesłaniu obu wielkich ludzi. Można zakwestionować dobrą wolę Napoleona, który był za wielki, żeby się zmieścić w feudalnej Europie, ale ze wszystkich możliwych wariantów ratunku, zwłaszcza po raz drugi w 1815 roku, wybrał rozwiązanie, które kosztowało najmniej ofiar i dobrowolnie postawił nogę na angielskim statku, choć proponowano mu ucieczkę do... Ameryki, gdzie w Nowym Orleanie miał przygotowany dom. Piłsudski na dobrowolnym wygnaniu – jak Napoleon na Elbie – cierpliwie przygotowywał swój powrót w 1926 roku. I trzeba przyznać, był to powrót na miarę Napoleona, dla którego porzucali bez wahania legalną służbę marszałkowie Francji, jak choćby Ney czy Murat, a co dopiero generałowie II RP dla swojego Marszałka. „Elba” w Sulejówku wyszła Polsce o tyle na dobre, że zagrożona własnym parlamentaryzmem Rzeczpospolita, osamotniona po Rapallo i Locarno, stała się groźna dla sąsiadów na tyle, że trzeba było ich dwóch, aby ją pokonać. A w takiej walce można stracić wszystko z wyjątkiem honoru, czyli poczucia szacunku dla samego siebie i swojej historii. 100 dni Napoleona to nic innego

jak walka o honor, o godność, której żaden wróg nie może odebrać, i której najbardziej się obawia, co w 1815 roku mógł dostrzec na wiedeńskim kongresie każdy. 44 dni Polski w 1939 roku to powód, aby być dumnym nie tylko z napoleońskich, ale i z „piłsudskich” wyborów w Europie, gdzie walka tocząca się o byt jednego narodu ocala i ostrzega inne narody. Nikt bardziej niż Anglia nie nienawidził Napoleona za życia i ta sama Anglia podziwiała go po śmierci. To samo z Piłsudskim. Nienawidzili go Niemcy, że z nich zakpił i z ich „łatwowierności” dającą do ręki broń Polakom uczynił oręż przeciw nim skierowany. Nie dostrzegli jednak, że uczynił raz na zawsze niemożliwym dla Niemców pobłażliwe i kolonialne traktowanie Polaków. Odtąd nienawidzili ich, ale jeszcze bardziej się ich bali i ze strachu, jak żartowano, ustawili wartę przed jego trumną w 1939 roku na Wawelu, aby nie zmarł twychwstał, likwidując jednocześnie jego muzeum w Belwederze, „aby nie powtórzył się 1918 rok w Warszawie”, o co nie było trudno. Bali się pobici w 1920 roku Sowietów, obrabowując jego dom w Sulejówku tak do szczętnie, że do dziś nie znalazła się żadna rzecz skradziona w 1946 roku, co budzi podejrzenia, że na rozkaz Stalina wywieziono wszystkie meble i książki do Moskwy. Według tych, co pilnowali willi Marszałka w Sulejówku, Hitler miał odwiedzić ją w 1940 roku, Stalin kazał ją sobie „przywieźć” do Moskwy w roku 1946. Jakże daleko im obydwu do wielkości tych, których kochają po śmierci całe pokolenia nie tylko rodaków. Dla nich życie zaczęło się również po śmierci i wbrew śmierci żyją nadal nie tylko jako symbole swych epok, ale również jako zwykli ludzie ze zwykłymi słabościami, choćby do kobiet.

Tym, co ostatecznie łączy obydwie przywołane tu postaci jest honor, za który tak niewiele by dało dziś tak wielu ludzi, a który dziwnym trafem historii, najsilniej zjednuje i najdłużej istnieje w ludzkiej pamięci, niekiedy sięgając serca.

Stworzyli epoki, każdy na swoją miarę, lepszą lub gorszą, ale nieobojętną dla tych, którzy po nich przyszli – nieważne, czy to byli wrogowie czy wielbiciele. Pojawili się jeszcze przyjaciele, którzy bronią honoru tych czasów, nie z uwielbienia dla ich twórców, ale z szacunku dla samych siebie, wiedząc, że nie byli pierwsi i nieobca im jest wielkość ludzi honoru.

Legia Honorowa i Virtuti Militari stoją bardzo blisko siebie.

Krzysztof Jabłonka

LITERATURA

WZOROWA KOMSOMOLKA

Eugeniusz Sobol

Wadim miał wolny wieczór. Matka oglądała telewizję i nie było z nią żadnego kontaktu. Marta natomiast pojechała w delegację do Warszawy. Duszne i parne powietrze wskazywało na zbliżającą się burzę. Zakończył się kolejny mecz piłkarskich mistrzostw. Za oknem słyszał sygnały pędzących po mieście radiowozów i karettek pogotowia, które drażniły go, uniemożliwiając skupienie się nad pisanem artykułu. Wkrótce machnął na to ręką. „Jutro spróbuję coś spłodzić”, pomyślał i odetchnął z ulgą.

Resztę wieczoru postanowił spędzić w towarzystwie komputera i rozrywki, jaką ten oferował. W internecie przejrzał najnowsze wiadomości. Napisał arcygłupi komentarz na Facebooku pod postem kolegi, ale potem go ze wstydem usunął. Kumpel miał zadzwonić, żeby spotkać się z nim z knajpie, ale się nie odezwał. Widocznie Wadim niewiele go w ogóle interesował. W końcu nie wytrzymał i odpalił ulubioną gierkę, choć jeszcze niedawno solennie przysięgał sobie, że nie będzie marnował czasu na tego typu zabawę. W bezlitosnym wirtualnym świecie, pełnym potworów i podstępnych pułapek, jego bohater ginął bardzo często. Była to postać ułomna, nieposiadająca dostatecznie dużo wigoru, by przetrwać i wygrać walkę. Zalekniiony, z poczuciem winy błakał się po pustkowiach, stając się łatwym łupem dla wszelkiej maści rozbójników. Aby dodać sobie trochę więcej odwagi, Wadim udał się po piwo do najbliższego sklepu monopolowego.

Zapomniał, że w Gdańsku trwają mistrzostwa Europy w piłce nożnej. Do sklepu ustawiła się bardzo długa kolejka, której koniec wychodził na ulicę. Wadim rozejrzał się niepewnie i zapalił papierosa. Nieopodal stały, rozmawiając, trzy młode kobiety. Były pojętne, ubrane niezwykle atrakcyjnie. Zwłaszcza ich wysmukłe nogi w ażurowych rajstopach wyglądały kusząco jak czekoladki, które aż chciałoby się polizać. Jedna z nich podeszła i poprosiła o papierosa. Miała wschodni akcent. Wadim nonszalancko wyciągnął paczkę marlboro. W ruchu palców, zdenerwowaniu, które próbowała ukryć, wyjmując papierosa, wyczuł coś nieuchwytnie znajomego. Papieros wypadł na chodnik. Schyliła się, by go podnieść, i wtedy Wadim cicho powiedział:

– Lena, to ty? Kobieta wzdrygnęła się, jak gdyby ktoś zdzielił ją biczem, a potem szybko wyprostowała się, obciągnęła obcisłą czerwona sukienkę i spojrzała na niego dumnie.

– Tak, to moje imię. A ty, kim jesteś?

– Przecież to ja, Wadim. Nie poznajesz mnie? – mówił, nie kryjąc wzruszenia. Patrząc na swoją pierwszą miłość, szkolną koleżankę, w której zakochał się kiedyś od pierwszego wejrzenia, a potem przez wiele lat będącą jego erotycznym marzeniem, nie wierzył, że to spotkanie było czystym przypadkiem. Lena odzyskała pewność siebie i chętnie zgodziła się spędzić resztę wieczoru w jego towarzystwie.

– Muszę tylko zamienić kilka słów z Szamilem – dodała. Ze sklepu wyszedł z butelką finlandii wysportowany, ubrany w dresy chłopak o śniadej cerze, Czeczen lub Dagestańczyk. Lena zaczęła z nim rozmawiać, jakby o coś błagając. Ten facet miał nad nią niepojęta władzę. „Mąż czy kochanek?”, pomyślał z niesmakiem Wadim. „I dlaczego nie przedstawiła mnie dwóm pozostałym dziewczynom?”

– Wreszcie pozbyłam się tego wstrętnego towarzystwa – powiedziała żartobliwie, gdy już była z powrotem.

Umysł Wadima pracował w przyspieszonym tempie. Cyniczna postawa była mu obca. Wcale nie zamierzał uwodzić Leny – choć podobala mu się w tym nowym wcieleniu – i pod pozorem kliwego rozpamiętywania wspomnień z czasów młodości domagać się od niej przyzwolenia na łatwy seks. Z trudem przeciskali się przez strefę kibica. Wadim czuł, że wysmukła postać jego koleżanki jak magnes przyciąga pożądliwe spojrzenia mężczyzn. Właśnie strzelono gola. Jakiś pijany kibic z pofarbowaną twarzą i z czapką pajaca na głowie usiłował porwać Lenę do tańca w rytm bębnow i trąbek, ale Wadim odepchnął go ze wstrętem. W tym rozwrzeszczanym tłumie czuł się obco i samotnie. Euro domagało się arbitralnej identyfikacji. Wadim urodził się na Ukrainie, jego ojczystym językiem był rosyjski, a od wielu lat mieszkał w Polsce – nie wiedział, której drużynie miałby kibicować. W klubie artystycznym „Arlekin” było pustawo. Widocznie kapłani sztuki też dali się wciągnąć w piłkarski szal, chcąc w ten sposób zbliżyć się do mas i wyrwać z wieży słoniowej indywidualizmu w czasach, gdy prawdziwa kultura była już właściwie nikomu niepotrzebna.

Wadim i Lena wygodnie rozsiedli się przy stoliku. Kameralna atmosfera, jakże odbiegająca od hałasu, który na zewnątrz tworzyli kibole, nastrajała do szczerości i zwierzeń.

– W Polsce bardzo mocno odczuwa się klimat piłkarskiego święta – powiedziała Lena. Kiedyś sądziłam, że Polacy są najsmutniejszym narodem na świecie.

– Polska jest dla mnie przede wszystkim wyzwaniem intelektualnym – mówił dalej. – W tym kraju dochodzi do niezwykłego zagęszczenia często sprzecznych ze sobą poglądów i idei. Ścierają się między sobą Wschód i Zachód, nowoczesność i tradycjonalizm. Z ciekawością to obserwuję. Ale przyjechałem też do Polski, żeby lepiej poznać siebie. Odpowiedzieć sobie na pytanie „Jakim jestem człowiekiem?”. Denerwowało mnie bezwiedne, pozabawione refleksji istnienie w Kijowie, gdy biernie akceptowałem wszystko, co niosło życie. Tutaj poczułem w sobie twórcze pierwiastki. Wymyśliłem pewien projekt egzystencjalny polegający na próbie stworzenia siebie od podstaw jako nowego, ulepszanego człowieka. Ale do dziś nie wiem, czy to się udało. Czasami moje istnienie wydaje się sztuczne i iluzoryczne, wyrażające się jedynie w ruchu myśli. Bo język, w którym opisuję rzeczywistość, nie jest moim językiem. To niebo, te drzewa i domy są jakby wyciętą z kartonu imitacją prawdziwego świata.